

GRYF

PISMO DLA SPRAW KASZUBSKICH.

Wychodzi raz na miesiąc.

Abonament ćwierćroczny z przesyłką pod opaską mr. 1.65. — Abonament na pocztę mr. 1.50 kwartalnie.

Adres redakcyi i administracyi: „Gryf“ Kościerzyna — Berent Westpr.

Redaktor odpowiedzialny i naczelny: Dr. Majkowski w Kościerzynie.

Drukiem S. Buszczyńskiego w Toruniu.

Ruch młodokaszubski.

Tak nazwała swe dążenia garstka inteligencji młodszej a rodzimej na Kaszubach, która pod hasłem: Co kaszubskie to polskie! — postawiła sobie zadanie, wprowadzić pierwiastki szczepowe kaszubskie do kultury ogólnopolskiej a zarazem oprzeć pracę społeczną i polityczną na realnych warunkach, wymagających uwzględnienia, a odrębnych w wielu punktach od warunków, panujących w innych dzielnicach Polski.

Ruch młodokaszubski obecnie w pierwszym względzie kulturalne uprawia cele. Na tem polu bowiem najbardziej dotychczas wobec Kaszubów grzeszono. Od czasów bowiem przejścia pod panowanie Krzyżaków aż do rozbioru Polski, Kaszubi odgrywali rolę kopciuszka wobec swoich i obcych. Nikt sobie nie zadawał pracy poznania podkładu ludowego na Kaszubach. Leżało to wreszcie w duchu czasu, który reprezentantów narodów i szczepów widział tylko w uczonych i szlachcie. Ta ostatnia atoli, o ile ciążyła do Polski i polską kulturę przyjmowała, nie lubiła się przyznawać do swej kaszubskości. Od niej pogarda do cech rodzimych przesiąkała w lud, sycona otwartą nienawiścią Niemców, którzy, od czasów krzyżackich począwszy, zawsze wielką rolę na Kaszubach odgrywali. Zdarzało się nieraz, że na sejmie w Piotrkowie Niemiec reprezentował Kaszuby, który z powodu nieznamości języka

polskiego ograniczał się na podpisywaniu nazwiska. Stąd w dalszych stronach Polski Kaszubów często brano za Niemców.

W ostatnim czasie, kiedy społeczeństwo polskie, zagrożone na wszystkich punktach, baczne oko zwróciło i na swe kresy kaszubskie, poglądną na sprawy kaszubskie i znajomość warunków na Kaszubach znaczne zrobiły postępy. Niedosyć wielkie atoli, ażeby już dziś w pojęciu całego społeczeństwa Kaszuby uchodziły za dzielnicę polską, tak swojską jak np. Śląsk.

Winę tu po części ponoszą Kaszubi sami. Za mało oni, chociaż tak ważną zajmowali placówkę, zaznaczyli się w dziejach Polski. Za mało, lub wcale nieprzyczynili się do dorobku kulturalnego i społecznego polskiego. Zdaje się, jakoby ten szczerp, po wygaśnięciu swych książąt i utracie bytu politycznego, przez sześć wieków ugrzązł we śnie nieprzebudzonym. Walki jego o zachowanie swych przyrodzonych właściwości nie rozbrzmiały szerszem echem po kraju, ale wybuchały płomieniem lokalnym, i tak, jak np. w prowincyi Pomorskiej, dowiadujemy się dopiero po zgliszczach, że płonął ogień walki, ale wypalił się sam w sobie bezskutecznie.

Pierwszy, który w nowszych czasach tę uspioną masę zbudzić się podjął do nowego życia, był Floryan Cejnowa (Wojkasyn). Jako słuchacz medycyny w połowie zeszłego wieku brał on wybitny udział w ruchu politycznym polskim na Kaszubach. Zapoznawszy się atoli podszas studyów w Wrocławiu z młodzieżą serbsko-łużycką, kładącą podwaliny pod odrodzenie swego tak szczupłego narodu, przeniósł on ich myśl na grunt kaszubski, proklamując odrębny naród kaszubsko-słowiński. „Słowiński“ stąd, ponieważ dogorywający już za jego czasów Kaszubi nad jeziorem Łębskiem i Gardzyńskim zwali się Słowińcami a swoją mowę słowińską.

Zdrowy instyngt szczepu kaszubskiego nie pozwolił się Cejnowie pociągnąć w stronę jego idei odrębności narodowej, a Cejnowa umarł samotny, zapoznany, wyszydzany i ostro potępiany. Lecz zasługą jego jest to, że on pierwszy wskazał na pielęgnowanie pierwiastków kaszubskich jako jedyną drogę, która prowadzi do odrodzenia Kaszub i sacho- wania ich od germanizacyi. Stąd też to, cō w tym duchu napisał, jego zbiory przypowieści i pieśni kaszubskich, trwałą posiada wartość. Usiłowania Cejnowy, to gwałtowny kurcz uspięnej dotychczasasy masy kaszubskiej, który już dla swej elementarnej gwałtowności niemógł być twórczym. Nastąpiła też równie gwałtowna reakcyja. Jako jej reprezentan- tów wymienić należy X. dra Gustawa Pobłockiego, autora bardzo war-



tościowego słownika kaszubskiego i Jarosza Derdowskiego, poetę — obu Kaszubów rodowitych. Reakcja ta negowała wprost jakieś odrębne od innych szczepów polskich właściwości kaszubskie, widząc w ich pielegnowaniu ducha separatyzmu i nowego rozczłonkowania Ojczyzny. X. Pobłocki, polemizując w wstępie do swego słownika z Cejnową, neguje istnienie katechizmu kaszubskiego Mostnika, Derdowski zaś widzi cel pracy w zagubieniu narzecza kaszubskiego, chociaż swe najlepsze dzieło „o Czorlińskim“ sam pisał w tem narzeczu. Czytamy w epepei o rybaku Czorlińskim (str. 105):

„Me Kaszube jej strzeżeme Polsci morsciech granic,
A w Warszawie naszy braco mają naju za nic.
Ale ma le mowę swoją serdecznie kochejma
I po polsku coroz lepi godac sę starejma
Choc jecz dzys nasz polsci jęzek kąseczk sę opaczy,
Choc godają u nos dzyso w koždy wse jinaczy —
Ciejle wjedno będzem dzałac rączo a wetrwale
W kuńcu tak, jak we Warszawie będzeme godale.“

Mowa kaszubska wypaczoną mową polską, więc trzeba ją wytepić! Pierwsze twierdzenie głupstwem, drugie dążenie utopią. Nim bowiem Kaszubi będą „jak w Warszawie godale“, wpierw się nauczą mowy Berlina. W każdym razie atoli tak dobitnie wyrażony program był programem reakcyi anty-Cejnowowskiej i miał walor aż do ostatniego czasu. W imię tegoż programu załatwiano się z właściwościami odrębnymi Kaszubów krótko i węzłowato. Zawsze i wszędzie wyszydzano stroje, pieśni, obyczaje Kaszubów, aż sami uwierzyli w to, że to rzeczy niegodne i rzucili je precz. Tak tylko da się wytłumaczyć ciekawy ale zarazem i smutny fakt, że w tych Kaszubach, gdzie do niedawna jeszcze całe okolice dla braku środków komunikacyjnych żyły odcięte od świata własnym trybem, prędzej lud zarzucił swe stroje i obyczaje, niż w innych okolicach Polski, wystawionych bardziej na niwelujący wpływ kultury ogólnoeuropejskiej.

Samobójczy i rezygnujący charakter takiego programu pracy na Kaszubach musiał w tej chwili napotkać na opozycję, w której wyszły z Kaszub jednostki, czujące się synami Polski, ale kochające obyczaje i mowę ludu swego. Objaw taki widzimy dziś, a znajduje on wyraz w ruchu młodokaszubskim. Głosem jego stał się „Gryf“. Idee podstawowe tego ruchu omawialiśmy obszerniej w nrach 1. i 3. Gryfa, dla tego poprzestajemy na krótkiej powyżej danej charakterystyce.

Na tem miejscu nas bardziej obchodzą przyczyny, jakie ruch ten wywołały i jego wewnętrzne uzasadnienie.

Jedną z przyczyn powstania ruchu młodokaszubskiego wymieniliśmy już powyżej, mianowicie reakcją żywiołów wykształconych kaszubskich przeciw mechanicznej asymilacji. Równocześnie atoli, jak się nam wydaje, duch czasu dużo się do powstania ruchu naszego przyczynił. Na całym obszarze Słowiańszczyzny widzimy gorączkową pracę około ocalenia ludów przed naporem giermanizmu. Praca taka szczególnie intensywny charakter przybiera tam, gdzie napór giermanizmu największy, jak np. w polskich ziemiach do Prus należących. Nic dziwnego, że kresy kaszubskie za przykładem Wielkopolan wchodzą w walkę, ale już nie jako separatyści, ani jako bierna masa, czyniąca ofiarę z swego charakteru szczepowego na rzecz polonizmu, ale jako jeden ze szczepów polskich, z wysoce charakterystyczną fizyognomią, świadomy swej roli dziejowej, jedno dalsze ogniwo w łańcuchu szczepów polskich.

Nie mało się też przyczyniły do powstania ruchu młodokaszubskiego zabiegi Niemców około oderwania szczepu kaszubskiego od drzewa narodowo-polskiego. System giermanizacyjny z dziwną logiką zabrał się do giermanizacji Kaszubów. Gdzie bowiem mu na rękę, tam akcentuje odrębność Kaszub od Polski, powołując się na tych uczonych, którzy w mowie kaszubskiej widzą odrębny język pomorski. Tem uzasadnia rugowanie polskich kazań z kościołów kaszubskich i nauki religii polskiej ze szkół. Jeżeli atoli chodzi o zastosowanie ustaw wyjątkowych, jako noweli osadniczej i ustawy kagańcowej, wtenczas system giermanizacyjny liczy Kaszubów do Polaków, mierząc ich tą samą miarą. Nie ulega wątpliwości, że taka, w sobie samej sprzeczna polityka, działać musi w wysokim stopniu pobudzająco na poczucie narodowe na Kaszubach.

W największej mierze atoli ruch polski narodowy, pracujący z tak wielkiem napięciem w Wielkopolsce, przyczynił się do powstania naszego ruchu na Kaszubach. Od kogoż bowiem wzięliśmy świadomości elementarne o naszej historii szczepowej, jak od braci Wielkopolan? Na kim się wzorują nasze instytucje narodowe na Kaszubach, jak na instytucjach podobnych w ziemi polskiej nad Wartą? I dobrze tak jest, że praca nasza tu i tam na wspólnym się unosi fundamencie, bo daje przeto rękojmię, że dwie te dzielnice w dalszej walce nawzajem się porozumiewać i popierać będą.

Rozumie się, że taki ruch z zupełnie jasnym programem i z idea

przeciwstawiającą budzenie szczepowe Kaszubów panującej dotychczas idei mechanicznego zasymilowania ich, ma swoich przeciwników i tem więcej ich mieć będzie, czem bardziej wpływ jego w sprawach kulturalnych i społecznych na Kaszubach zaważy. Przeciwnicy ruchu młodokaszubskiego wysuwają mianowicie straszaka separatyzmu Cejnowy jako odwrotną stronę naszej pracy. Twierdzą dalej, że pielęgnowanie pierwiastka kaszubskiego jest zbyt cennem, bo po pierwsze lud kaszubski sam swe szczepowe cechy uważa za cechy ujemne, starając się ich się pozbyć, po drugie zaś wnosi to nowy moment, dzielący jednych Polaków od drugich.

Zarzuty takie padały gwałtownie z plebanii i dworów, kiedy przed pięcioma laty »Gazeta Gdańska« wydawała skromne piśmiśko tygodniowe dla ludu kaszubskiego, pisane narzeczem kaszubskiem.

Zarzuty takie atoli niesą niczem innym, jak znakiem krótkowidztwa politycznego, płynącego z zaściankowego poglądu na stosunki ludzkie i narodowe. Gdyby pielęgnowanie u Kaszubów pierwiastka kaszubskiego zawierało niebezpieczeństwo dla całości ojczyzny, byłoby takie rozbicie narodu się już dawniej zmanifestowało u ludu, który od długich już czasów pielęgnuje starannie właściwości swych poszczególnych szczepów, mianowicie u Niemców. Posiadają oni piękną literaturę w poszczególnych narzeczach ludowych, jak w dolnoniemieckiej i w bawarskiej gwarze, posiadają organizacje, które zachowują dawne obyczaje i stroje szczepowe, jak to mianowicie u Bawarów zauważyć można, a jednak to wszystko nie sprzeciwiało się i nie sprzeciwia coraz silniejszemu wyrobieniu się poczucia wspólności narodowej u Niemców. A u nas nie będzie inaczej. W jednej armii walczą obok siebie różne znaki, różne pułki, a współzawodnictwo tychże pomiędzy sobą i duch korporacyjny w poszczególnych pułkach panujący, zamiast osłabiać, podnosi jak wiadomo bitność całej armii, jeżeli tylko cel im przyświeca wspólny. Tak i poczucie szczepowe u Kaszubów przysporzy narodowi jedną siłę świadomą i zdobywczą, figurującą dotychczas w bilansie polskim jako wartość x.

Objaw zaś bezsprzecznie u Kaszubów istniejący, mianowicie, że gardzą wszystkim, co ich charakteryzuje jako Kaszubów, nie należy przyjmować z rezygnacją lub nawet witać z radością. Objaw ten wszędzie zauważyć się daje, gdzie szczepjaki lub naród chyli się do grobu; jest on puszcykiem zwiastującym bliski jego zgon. W interesie sprawy polskiej takie objawy upadku wszelkimi należy zwalczać środkami. Kaszubi bowiem, jeżeli pozostaną Kaszubami, będą i Polakami i silną

placówką nadmorską Polski, trupem zaś ich przyjdzie się dzielić Polsce z Niemcami. I wydaje nam się pewnym, że w takim razie południowe Kaszuby zasymiluje polszczyzna, północne zaś zaleje fala germańska. Wychodząc z takiego założenia, ruch młodokaszubski widzi nawet ogromne niebezpieczeństwo dla sprawy całej naszej wielkiej Ojczyzny w zaniechaniu pracy nad budzeniem poczucia szczepowego u Kaszubów.

Najczęściej też, a może nawet wogóle przeciwnikami idei naszej młodokaszubskiej są tacy, którzy zbyt powierzchownie lub wcale nieznają ludu kaszubskiego i warunków jego bytu. Przy głębszem bowiem wniknięciu w duszę ludu tego przekonaliby się, że posiada on bardzo dużo pierwiastków kulturalnych, mieszczących się w jego narzeczu, w pieśniach, podaniach, rękodzielnictwie, tak dodatnich, że godne są wejść do doróbku kultury ogólnopolskiej, a tak swojskich, że szkoda by była niepowetowana, gdyby zaginęły w zawierusze naszych ciężkich czasów.

Ale nie tylko kulturalna strona wymaga u Kaszubów osobnego zajęcia się i uwzględnienia, lecz i warunki społeczno-polityczne z powodu różnicy warunków kraju i duszy ludu są po części innemi, niż w innych dzielnicach Polski. Na dowód jedną tylko podajemy kwestyę. Otóż kolonizacya u Kaszubów nie znajduje takiego pola powodzenia jak w żyznych równinach Wielkopolski. Gleba nieurodzajna, i tylko tak silny i mało wymagający żywioł jak kaszubski może się na niej utrzymać. Kolonista niemiecki zaś na takiej glebie ostać się niemoże. Ale system giemanizacyjny znalazł mimo to środek wywłaszczenia powolnego Kaszubów. W miejsce bowiem komisji kolonizacyjnej wstępuje fiskus leśny, kupując takie grunty, na których Niemiec by się nie utrzymał. I tak od szeregu lat giną nam pod nogami pustkowie, całe osady rólnicze i rybackie nad jeziorami. Nawet niecna szacherka ziemią i wodą zachodzi na rzecz fiskusa, lecz politycy nasi, pracujący na modłę wielkopolską, nie widzą niebezpieczeństwa i nikt nie piętnuje należytem mianem sprzedawczyków i ich agentów. Tym sposobem dawny lud ubogi ale wolny opuszcza gromadnie ziemie praocjów, a w jego miejsce sprowadzają się pułki zielono umundurowanych urzędników borowych.

Ruch młodokaszubski spełni doniosłe zadanie, jeżeli na tym i podobnych punktach wywoła radykalną zmianę w zapatrywaniach ogółu polskiego na kwestyę kaszubską. —

Akcentując atoli szczepowe właściwości Kaszubów i starając się

dla nich o należyte miejsce w gmachu odrodzonej Polski, nigdy my młodzi Kaszubi z oka spuszczać nie powinniśmy tego, co nas łączy z całym narodem. Kiedy ostatni nasz książę, Mściwoj II, zbliżał się do kresu życia, układem w Kępnie (r. 1282), przez donatio inter vivos, mianował za zgodą szlachty i panów kaszubskich, następcą swym księcia wielkopolskiego Przemysława, późniejszego króla polskiego. Od wschodu wtenczas czychał na dzielnicę naszą mnich krzyżacki, od zachodu zniemczony ród książąt szczecińskich i Brandeburczyk. Wtenczas Mściwój, jako prawdziwy ojciec swego ludu, wskazał mu drogę połączenia z Polską jako jedyną drogę ratunku. Stało się wtenczas przez dobrowolne połączenie pokrewnych szczepów to, nadczem napróżno pracował miecz Chrobrego i Krzywoustego przez dwa wieki krwawe.

Testament Mściwoja i dzisiaj nie stracił swego znaczenia. Dlatego też dążenia nas młodych Kaszubów powinny wpłynąć do wspólnego koryta dążeń polskich. Narzecze nasze powinno zawsze do języka literackiego stać w roli narzecza. Dla tego językiem kościelnym pozostać winien, jak dotychczas przez długie wieki, język literacki polski. Językiem naukowym, językiem wieców, jak dotychczas, będzie język polski, jako wyraz naszej solidarności narodowej z całą Ojczyzną. Natomiast piękne nasze narzecze wielkie pole zastosowania mieć może w literaturze pięknej, w baśni i pieśni, w teatrze amatorskim. Przekroczenie takiej linii wytycznej zemściłoby się na nas samych i byłoby ciosem samobój-dla ludu kaszubskiego.

W takim duchu pracując, zapewnimy Kaszubom przynależną rolę w dziejach Ojczyzny i przysporzymy jej kadry uświadomionych swego zadania obrońców, będąc zarazem prawdziwymi wykonawcami testamentu Mściwoja.

Chaty podcieniowe w Skorzewie.

Przyczynek do historii budownictwa ludowego na kaszubach.

II.

W pierwszym numerze „Gryfa“ daliśmy krótki pogląd na chaty podcieniowe w Skorzewie, wsi na samym południu powiatu kartuzkiego położonej. Równocześnie podaliśmy widok i rys poziomy najstarszej przypuszczalnie chaty podcieniowej w tejże wsi.

Co do wieku nie ustępuje jej o wiele chała Górnego, także pod-

cieniowa. Właścicielem i mieszkańcem jej gospodarz, czyli jak u nas mówią, gbur Górny. To też zewnętrznie już, chociaż stara, zdradza chędogość i dbałość swego właściciela i o wiele schludniejszy przedstawia widok od poprzednio przez nas podanej chaty Kropidłowskiego.*) Chata i tu stoi szczytem do ulicy, po obu długich bokach jest przestrzeń kilka kroków, zamknięta w głębi parkanem, który oddziela ogródek wiśniowy i oborę. Obok chaty stoi ogromny klon.

Co do sposobu budowania, to ten odpowiada w zupełności sposobowi, zastosowanemu przy chacie Kropidłowskiego. Długie, grube, czworokańczone bierwiona, poziomo kładzione (na wieniec) łączą się na rogach zamkiem. Dach złomiany, na szczycie umocowany kozłami. Tak samo rozmiary zewnętrzne chaty Górnego odpowiadają w zasadzie rozmiarom chaty Kropidłowskiego. Długość chaty bowiem wynosi 10,85 metrów, szerokość (z wystawką) 6,70 metrów. Natomiast rozmiary pojedynczych części chaty oraz podział jej wnętrza znaczne okazują różnice od wzoru pierwszego.

Już wystawek sam, najbardziej w oczy uderzająca cecha chat tego rodzaju, niezajmuje połowy szerokości szczytu, ale tylko 2,70 metrów na 6,70 metrów całej szerokości boku szczytowego. Stosunek więc wystawka do szerokości całej jest jak 1 : 2,5. Ten stosunek też, albo przybliżony doń, znajdujemy najczęściej przy chatach wystawkowych na Kaszubach; pod tym względem więc chata Górnego jest typową. Głębokość wystawka wynosi 2,30 metrów. Wysokość ściany od fundamentu do dachu wynosi 2,20 metrów. Podłoga wystawka jest brukowana. Słup, na którym spoczywa róg wystawkowy chaty, jest daty nowszej; jako część wystawiona najbardziej na wpływy powietrza uległ zniszczeniu. W jego miejscu stoi nowy słup, który nietylko szczupłością swoją zdradza swą młodość, ale i tem, że zastrzały, łączące go z poziomymi belkami, na których spoczywa dach, są weń wczopowane (gezapft) zamiast być wkładanymi (eingebattet), jak to przy wszystkich starszych chatach ma miejsce.

Podpada też, że chata (przynajmniej tak było pierwotnie) jedno jedyne wejście posiadała do wszystkich ubikacji. Wejście to prowadzi z wystawka do sieni, krytej, bez okien. Sień ta szeroka jak wystawek, jest 2,90 metrów długa. Z niej na prawo od wejścia wiodą drzwi do małej izby, zajmującej resztę szczytu nie zajętego wystawką. (Wchacie Kropidłowskiego (nr. 1. Gryfa) wejście do tej izby prowadziło wprost

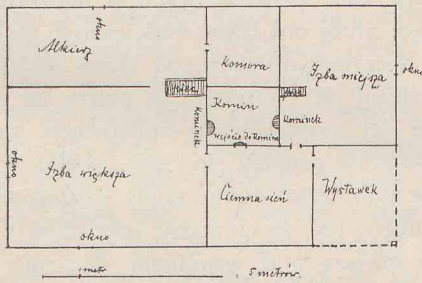
*) Nr. 1. Gryfa.

z wystawka.) Izba ta jest stosunkowo obszerną, bo 3,25 metrów długa, a 4 metry szeroka. Obok drzwi, wiodących do szczytowej izby są drzwi do komina, w którym, jak mi się wydaje, dawniej znajdowała się kuchnia. Nawprost trzecie drzwi wiodą do wielkiej izby, oświetlonej przez dwa okna rozmiarów 86 do 82 cm., każde po 6 szyb. Jedno okno znajduje się nawprost drzwiom. Drugie w ścianie po lewej ręce



Chata Górnego w Skorzewie.

Rys. rzutowy chaty Górnego w Skorzewie.



od wejścia. Izba ta atoli niezajmuje całego obszaru tylnej części chaty, jak w chacie Kropidłowskiego, ale od niej jest już ścianą osobną oddzielony alkierz, szerokości 2,30 metrów. W izbie obok wejścia widać jeszcze starodawny komin, nie używany już. Za kominem wychodzi z ściany ogromny, czworościanowy, z cegieł czerwonych budowany a wapnem bielony piec, który tworzy zarazem część przegrody od izby

do alkierza. Wejście do alkierza prowadzi obok pieca. Drzwi niema. To zdaje dowodzić, iż rozdział jednej wielkiej izby na izbę i alkierz nastąpił stosunkowo niedługo temu. Alkierz odbiera światło przez jedno okno w długim boku chaty, rozmiarów tych samych co i inne okna. Takież okno prowadzi, jak nam dodać wypada, z pierwszej izby szczytowej na ulicę. Te ostatnie okna atoli (w szczytowej izbie i w alkierzu) nie posiadają okienic, podczas gdy okna w izbie głównej mają takowe, zamykalne z zewnątrz. —

Z alkierza prowadzą drzwi do ciemnej dawnej komory. Dziś komora jest rodzajem sieni, gdyż w nowszym czasie wybito w ścianie zewnętrznej otwór do drzwi. Komora ta jest tylko 1,80 metrów długa a nieco węższa. Jedną jej ścianę tworzy mur komina, który zajmuje mniej więcej centrum całego domu, grupując około siebie sień, izby, alkierz i komorę. Na zewnątrz dom świeci surowem drzewem, wewnątrz zaś, oprócz powały, spoczywającej na ogromnych belkach, wszystkie ściany bielone wapnem. W izbach podłoga kładziona z desek, w sieni zaś, alkierzu i komorze podłogę tworzy udeptana glina. Na ścianach rozwieszono liczne nowsze obrazy Świętych, z sprzętu zaś starszej daty spostrzegam dwa szelbiągi, malowane jednostajną farbą. Zresztą meble są nowszej fabrycznej roboty.

Dodać jeszcze należy, że w alkierzu, który dawniej nie posiadał ogniska, utworzono w nowszym czasie kuchnię i to w rogu, przytykającym do komina.

Jako trzeci typ chat podcieniowych w Skorzewie niech posłuży chata Hetmańskiego. Służy ona także właścicielowi gburstwa jako mieszkanie a stoi także szczytem do ulicy, od której oddziela ją mały ogrodek, z tą atoli różnicą, że wystawek nie patrzy ku ulicy ale na podwórze. Proporce jej odpowiadają mniejwięcej proporcjom chaty Górnego. Około komina grupują się: sień, wielka izba, alkierz i komora. Wymienione atoli części domu zajęły stosunkowo więcej obszaru niż w chacie Górnego, tak, że mniejsza izba obok wystawka nie znalazła już zupełnie miejsca pod wspólnym dachem. Dla tego dolna część lewej od wejścia połowy dachu musiała się wydłużyć, aby ją przykryć na jednej stronie, podczas gdy wprost od szczytu odrzyna się druga połowa dachu tej części chaty. Tak powstaje t. zw. przystawek z niższym dachem. Pod nim mieści się zazwyczaj mniejsza izba dla osiadających „na deputacie“ rodziców gospodarstwa, a wejście jest z pod wystawka. W chacie Hetmańskiego widzimy atoli wejście od szczytu. Nie wiecie on tu wprost do izby, ale do wąskiej wybrukowanej sieni,

nauczyciel Gulgowski. Domek sam charakterystycznie kaszubski, a jako taki stanowi cenny nabytek muzealny, gdyż jest ładnym okazem dawniej tak powszednich, a dzisiaj już nader rzadkich budowli kaszubskich. Jest to tak zwana chata podcieniowa, czyli, jak Kaszubi mówią, z wystawkiem (wystowciem), lecz o tyle charakterystyczna, że ów wystawek nie zajmuje tylko jednego rógu, lecz cały szczyt. Oprócz tego podpada, że przy budowie kowal był zupełnie zbyteczny, gdyż nawet gwoździe i zamki są drewniane. Mieszkanie składa się — oprócz wystawka o 4 drewnianych słupach i małej sieni — z wielkiej izby, alkierza i komory. Główna część zbiorów jest umieszczona w izbie, wszystkie przedmioty tak odpowiednio poustawiane, iż rzeczywiście składają się na dokładny obraz domowego życia kaszubskiego. Jest tu obok wejścia kominek (z wygasłem ogniskiem), a w nim, jakby co dopiero używane „drybinki“, dalej piec z kachli garncowych, zresztą nie oryginalny, lecz dokładna rekonstrukcja podług starych wzorów. Kachle podobne do doniczek, których ściany stanowią wklęsły czworobok; w wydrążeniu, czyli w wnętrzu tych „doniczkowych“ kachli piekły sobie dzieci, ile sobie przypominam, w zimowej porze groch, marchewki, brukiew i t. d. Piec ten jest tak ciekawym jak rzadkim okazem, gdyż dawniej na Kaszubach spotkać go było można tylko w zamożniejszych familjach. Dalej wielki okuty „kufer“ i niezbędna „skrzynka“, gdzie umieszczono cały zbiór dawnych czapek kobiecych, wyszywanych srebrną lub złotą nicią, i szereg jaskrawych chustek jedwabnych, które owijano na głowie około owych czapek i powiązywano na czole w dwie „kobyłki“; był to dawniej specjalny strój naszych kobiet. Obok prosty szelbiąg z kilku naczyniami, z których niektóre są własnej roboty i przyozdobione swojską emalią, inne zaś importowane. Podpada tutaj także liczny zbiór tabakierek różnej wielkości i różnego kształtu; niektóre z nich są opatrzone prymitywnymi rzeźbami. Charakterystyczne okazy swojskiej ceramiki stanowi kilka kropelnic glinianych, a rzeźbiarstwa swojskiego obraz w formie talerza, rzeźbiony z drzewa; rzecz istotnie wcale udatna. Nie brak też tarki do tabaki (donica), i kluki (co pełniła w gminie kaszubskiej zadanie sługi gminnego), są też dwojaki, dezmer, motowidło i „kółko“ (kołowrotek), „wyrzeczka“ (rodzaj grzechotki, którą alarmowano gminę, jeśli gdzie wybuchł pożar), „prase drukarskie“, t. j. przyrządy, jakich używano do drukowania swojskich sukien (warpu), nareszcie przyrząd (rodzaj kolebki) do wyrabiania masła. Poutkane kaszubskim zwyczajem za belką są drobne przyrządy rybackie, jako to wędy i wędki rozmaitego rodzaju i przedmioty do naprawiania

sieci („drguba“ i „liertka“). Nie brak też starej strzelby i pistoletu z charakterystycznym zamkiem własnego wymysłu. — W komorze znajdują się żarna, przyrząd do młócia zboża, i niezbędna „stępa“ do bicia pyszki. — Na poddaszu wielki stary pług z jarmem, z jedną sochą i drewnianą deską, potem sieci na różne rodzaje ryb i sieci stawiane (wierze i więcórki) i innych drobiazgów bez liku. Wszystko tak skrętnie nagromadzone i tak zręcznie poustawione, iż doskonale oddaje, jak już powyżej powiedziałem, obraz zaściankowego życia kaszubskiego. Wdzięczność przynależy się zresztą panu G., iż z takim zapałem podjął się tej tak mozolnej, jak zmułnej pracy około zbierania zabytków kaszubskich, aczkolwiek pierwotnie ta praca jego mało znalazła zrozumienia i poparcia. Przypuszczam, że dzisiaj i inne osoby zajmują się zbieraniem i zachowaniem rzeczy kaszubskich, lecz z góry chyba twierdzić można, iż zbiory te prywatnie nie dorównywują muzeum Wdzydzkiemu ani co do ilości, ani jakości, ani co do sposobu umieszczenia, t. j. w podobnej chacie arcy-kaszubskiej jak tutaj. Życzył trzeba, aby jak najwięcej miłośników rzeczy kaszubskich to ciekawe muzeum zwiedzało, zwłaszcza że i komunikacja będzie lepszą o tyle, że będzie w Wdzydzach kursował wygodny pram (między Wdzydzami i Zabrodami), który za staraniem p. G. sprowadzono.

Stosownem uzupełnieniem tych zabytków kaszubskich są wyroby ręczne pani Gulgowskiej, które w ostatnich tygodniach właśnie dla swej oryginalności niemałego zaszły rozgłosu. Owe prymitywne zaczątki sztuki domowej, jakie napotkała na skrzyniach, szelbiągach, naczyniach, strojach, użyła jako wzory do owych haftów. Oczywiście, że rozwinęła i urozmaiciła te skromne wzory w pojęciu artystycznym, t. j. że zastosowała je do zasad dzisiejszego smaku. Mimo to jest wszędzie doskonale zachowany pierwotny charakter kaszubski, więc zestawianie jaskrawych kolorów bez odcieni, (mianowicie różowy i niebieski), te same motywy kwiatowe (przeważnie róża i tulipan). Obrus na kratkach w kościele Wielewskim jest wyhaftowany w tym guście kaszubskim. Natomiast krzyżyki powyżej owych motywów kwiatowych są oczywiście dodatką, gdyż smak kościelny tego wymagał. Całe stopy podobnie haftowanych ręczników, bluzek, fartuszków, obrazów i t. d. miałem zaszczyt oglądać i wcale się nie dziwię, że rzeczy te na wystawie międzynarodowej sztuki ludowej w Berlinie tak bardzo się spodobały.

Sporządzanie tych haftów, które wzięło u pani G. początek z artystycznego zamiłowania do skromnych form sztuki ludowej, ma w Wdzy-

dzach także ekonomiczne znaczenie. Zatrudnia się bowiem przytem cały szereg dziewcząt wiejskich, z czego niemałe zyski ciągnie ta, pierwotnie tak uboga wioska, zwłaszcza, że wyroby te mają pono wielki zbyt. Nawet pudła do zapakowania tych rzeczy są swojskim wyrobem, są to nasze kobiałki.

Mimowoli nasuwa się tutaj myśl, czyby nie było na miejscu, ten rodzaj przemysłu przenieść na całe Kaszuby? W tym celu trzeba wziąć najprzód pod uwagę dwie rzeczy: 1) czyby ta gałąź przemysłu także gdzie indziej się opłacała, t. j. była wstanie pracę odpowiednio wynagrodzić, 2) czyby znalazły się siły, któreby tą pracą kierować mogły, co zgóry stwierdzić i ocenić nie łatwo. Zalecałoby się może, iżby p. G., która tak doskonale pojęła ducha kaszubskiej sztuki ludowej, w kilku odczytach, któreby się odbyć mogły w rozmaitych większych miejscowościach, n. p. Kościerzynie, Kartuzach, Wejherowie i t. p., starała się tę ideę spopularyzować i nasze panie, do których kompetencji pielęgnowanie tej gałęzi sztuki i przemysłu przeważnie należy, z jej zasadami zapoznała. Przydałoby się niezawodnie bardzo, gdyby wydała także zbiór wzorów hafciarskich, w smaku kaszubskim wykonanych.

Janowicz.

Bajki kaszubskie.

O małpie i biednym szewcu.

Pewien ksiądz mniął małpę. A ta była barzo poceszno, bo ona wszystko wiedzała i mogła wszystko robic, co ludzie robile. Ona wjedno sedzała u księdza w jizbie, a żebe chto był co wzał, ona zaru be była to wedała.

Jednygo dnia liczył ksiądz na stole czerwony dukote, a była ich cało kupa. Małpa zos się przezerwała jego roboce. W tym chtos księdza zawołał, i on weszed i ostawieł małpę samą z dukotami.

Ona ale widzała, że ksiądz prze rachowaniu tych dukotów palce do gębe podnoszoł i so je robiel mokry, ale ona meslała, że on te dukote jod.

Tak małpa wzięła i zaczęła te pieniądze jesc i zjadła je wszetci.

Jak ksiądz nazod przeszed, tej on widzoł, że pieniędzy niebeło. Ale on mesłoł, że to je jaci złodziej ukrod, bo małpa się nick niezdradzała.

Ale małpie się zrobielo za ciężko na żoce od nych dukotów

bo to nieje żodna strawa. A za porę dni ona zdechła. Tej ksądz je kozoł przez okno werzucec.

Długo ona tam leżała, jaż od nij lecec zaczęno.

W tym samym mniesce ale żeł ubodzi szewiec, chteren sę żewieł je z flekowaniu botów, bo nimnioł na skórę, żebe nowy robic. Jego sąsod ale beł barzo bogaty. A ten nimnioł summieniu, le sę podkorbioł z biednygo szewca, chdze le mog. Szewiec sę srodze o to mortwieł, ale nimog nick zrobic, bo biedny nigdzie prawa niedostanie.

Jednygo dnia knopi tego bogatygo sąsada szle do kseżygo ogrodu, jabka krasc. Tam oni nalezle nę zdechłą małpę, przeniesle je dodom i rzekle do ojca:

— Wejcele, tatku, co me nalezle!

A ten stary rzek:

— Wrzucta tę małpę zdechłą tymu szewcu przez okno, żebe mnioł skórę, be z nij bote robic!

A knopi tak zrobile i wrzucyle małpę szewcowi przez okno do jizbe i sę smiele:

— Tero mosz, szewcu, z czego bote robic! —

Szewiec sę z początku werzas, jak mu ta małpa przez okno na podłogę padła. Ale zarazem to dało taci głosny brzęk, bo małpa sę rozpękła, a z jiz brzucha lecałe złoty dukote.

Tero szewiec krzyknął:

— Oj rada!

I zakupił skórę i najął so pachółka i jań bote robic. A że prync detkach nie położył sę na zgniełą skórę, le robił od rena do wieczora, więc wnetk wecygnął ze swoij nędznej chate, webudował so kaminicę i szło mu dobrze.

Ale ten bogaty sąsod sę barzo mortwieł, że szewcu szło dobrze, bo on beł srodze zodrosny. Tak on so mesłoł, że dobrym sposobem szewiec sę majątku niedorobieł, le że chdze ukrod piniędzy. I szed do ksędza i mu rozpowiedzoł:

— Downij ten szewiec beł taci biedny, że nimnioł co jesc a mieszkoł w mizernyj jizbie, a tero on je bogaty i mo włosną kaminicę. On muszoł chdze piniędzy ukrasc abo kogo zabic. —

Tak ksądz doł szewca do siebie wołac i sę spytoł, skąd on swoje bogactwa nabroł.

Ale szewiec mu wszetko rozpowiedzoł i nick nieutajeł, jako, że w tyj małpie, chterną mu z psote jego sąsod przez okno wrzuceł, naloz kupę złotych dukotów.

Tero ksądz widzoł, że to bełe jego pieniądze, chterne małpa zjadła i po chternych ona zdechła. Tak on mu to rzek, ale nych dukotów niechcoł ju miec nazod, le je szewcu podarowoł.

A tego sąsada doł ksądz zawołać i go wewadzeł za to, że on szewcowi, ciej on beł jesz biedny, psotę robiel.

Ale szewcowi szło dobrze i on beł barzo bogatym człowieciem.

Sąsadowi ale jego, ciej on sę dowiedzoł, że szewiec przez jego psotę do majątku doszed, ze zodrosce pękła żołc i on umar.

Biednemu nietrzeba sę psocec, bo on może wnetk w górę przyndz, a bogaty niewie, ciej mu sę przyndze pożegnac ze swymi bogactwami.

Co nimoże bec.

Pewien gbur mioł dwuch senów. A ciej on z nimi roz jod wieczera, tej uzdrzoł przez okno, że sę na polu odziń poli. Tej oni wszesce trzej zaru wiedzele, ze sę tam pieniądze przesuszają. Tak ojc rzek do starszygo sena:

— Jidz i obocz! A może dostaniesz od tych pieniędzy! — Tak nen starszy syn szed.

Jak on przeszed na ten moł, tej stojoł tam zły duch i mnieszoł cijem w tym ogniu.

Widząc to, starszy syn rzek:

— Dej mnie od tych pieniędzy! —

Ale zły duch odrzek:

— Jo ce dom wszetci cieszynie pełny, ciej te mnie powiesz co bec nimoże! —

Tak ten starszy syn sę długo nameszłoł, ale jednak nimog powiedzec, co bec nimoże. Jak on tej żodnyj odpowiedze niewiedzoł, tak zły duch zaczął na niego wrzeszczec i ślepie wewolac:

— Pochadej precz stąd! Bo ce sę zaru tu nieszczescy stanie! —

Starszy syn sę srodze werzas i ucek precz.

Jak on przeszed do ojca, to ten sę pytoł:

— A cuż te sprawiel? —

— Nick! — odrzek syn. — Tam mnieszo czort w ogniu i mowieł do mnie: Jo ce dom pełny cieszynie pieniądze, ciej te mie powiesz, co bec nimoże! — A tego jo wej nieumnioł powiedzec. —

Czując tę godkę, rzek młodszy syn:

— To jo pudę, tatku! —

A ojc mu mówiel:

— Jidz! —

Jak nen młodszy syn przeszed do tego ognia, tak on widzoł, jak zły duch w ogniu cijem mnieszoł, i rzek do niego:

— Ciej te przegorniosz w tyle piniędzach, to dej i mnie od nich dzel!

Ale zły duch odpowiedzoł:

— Jo ce dom pełny cieszynie, ciej te mie powiesz, co bec ni może.

— To jo ce zaru powiem! — odrzek ten młodszy syn. Jo służeł u jednygo gbura, chteren posodoł dwanosce koszk pszczoł. A jo muszoł każdą pszczołę porachować reno, ciej pszczołe welotywał i we wieczór, ciej przelotywał.

— To może bec! — rzek zły duch. — To jo wierzę! —

— Poźdejle! Moja godka jesz jidze dalij! — — Jak jo roz we wieczór wszetci pszczołe z nych dwanosce koszk rachowoł, tej jednyj niebeł. W tym jo uczuł, że ję wilce w lese opadłe, a ona reczała jak wół. Tak jo zawołoł dwanosce gburów i ma szle na pomoc. Ale jak ma przesła, tej ju wilce mniele pszczołę zeżarły, le żądło od nij ostało. To żądło beł tak ciężci, że ma je udwignąc nimogle. Tak jo je muszoł ostawic. A na drudzi dzień jo so najął dwanosce gburów z dwanosce wozami i dwanosce porami koni i ma jachele po no żądło. Tam ma go porąbile, a dało z niego dwanosce fór, tak że sę pod nimi moste dzięte. —

— To może bec! — rzek zły duch. — To jo wierzę! Niewiesz je czego jinszygo? Ciej nie, to le jidz, póci jesz jes cały. —

Ale chłopok rzek:

— To jo ce jesz co lepszygo powiem: Jo beł w niebie!

— To może bec! — rzek czort. — Ale jak te sę z nieba na zemnię dostoł? —

— Decht letko! Tam w niebie prawie anniołowie draszowele tęczmiń, a jo so z tych jęczminnych plew ukręceł powróz i sę po nim spusceł. A ciej sę ju powróz kuńceł, tej jo z góre ucał a na dole przewiazoł, jaż bełem na zemni. —

— To może bec! — ciwnął czort.

Ale chłopok opowiodoł dalij:

— Jak jo beł w niebie, tej to widzoł, że muj ojc w twojgo ojca gnuj wozek. A jak on niechcoł cygnąc, tej on go rzemiannym batodziem podgonioł a tak smarował, że mie jaż zol beł. —

— To nimoże bec! — krzyknał zły duch tak rozgorzony, że

jaż na chwilkę oprzeostł mnieszac w ogniu. Bo muj ojc je Luceper i króluje w piekle! —

— Tero le mnie dej pełny cieszynie piniędzy! — rzek chłopok. — Bo jo ce powiedzoł, co nimoże bec! —

Rod nierod zły duch mu muszoł dac tero tych piniędzy pełny cieszynie, a jak on z nimi przeszed dodom, tej sę wszesce trzei srodze uceszyle.

O pożyszonym detku.

To roz bele dwai chłopci. Jeden z nich zażywoł tobakę, a drudzi nie, bo nimnioł za co jij sobie kupic. Tak on roz rzek do tego, co to zażywoł:

— Pożycz mie jednygo trojoka, co siebie tobaci kupię. Za rok jo ce go oddom! —

A ten mu pożyczel.

Jak rok beł weszły, tej rzek ten chłop, co to mioł pożyczony tego detka, do swoij białci:

— Rok ju je weczły. Dzys przyńdze muj sąsod po tego pożyczonygo detka, a jak jo mu oddom, ciej nimom?

Tak białka rzekła:

— Tatku, wlez le w komorę i sę połóż na del. Jo powiem, że te nieżyjesz! —

Tak on też zrobieł. Białka zos wzięła so cebulą ocze wesmarowac, cobe to weglądało, jakbe ona beła ubeczana.

Tej sąsod przeszed i sę pyto:

— A je on doma? —

— Doma on je, — odrzekła białka, — ale on nieżyje! —

— Ala! — dziewieł sę sąsod i rzek:

— On odemnie przed rociem trojoka pożyczel, a tero, ciej on nieżyje, to jo ju mygo detka więcyj nieoboczę. Ale to nic nie szkody. Jo be go ale jesz roz rod widzoł. Pokoż mie go, co jo oboczę, jak on po smierce weglądo.

Ale ten chłop tam leżoł, jak beł, nieomety. A sąsod, widząc to rzek:

— Wej le, on nie je ani omety! Tec tak to niejdzde! Zagrzyj le szkopk wode, to jo go omyję, choc on mie je tego detka winien. Bo mie go je żol. —

Tak białka muszała chyże szkopk wode zagrzoc i mu dac. A ten sąsod wzał i obłoł tego chłopca tym warem. Ledwo on go ale obłoł,

tak ten weskokozł jak reba i jał nekac w pole. Kobieta ale jeła skakac i wołac:

— Ożewieles mie chłopca, ożewieles mie chłopca! —

Tak wej sztuka się nieudała. A na drudzi dzen chłop znowu rzek do swoj białci:

— Oboczysz, dzys on przyndze znowu po tego trojoka! —

Ale białka mu tak poradzeła:

— Tam wtele za sadem je duzo kula od brukwi. Połóż sę w nię. A jak on przyndze, tej jo rzeknę, że te ju jes tam pochowany. —

I chłop tak zrobiel, jak mu białka radzeła. Włoz w kulę i tam leżoł.

Ale ten sąsod przeszed ju w szaryj godzenie i sę pytoł:

— A je on doma? —

Ale białka jęna lamańtowac i płakac, że jij chłop nieżyje i ju je pochowany.

— A chdze on je pochowany? — spytoł sę sąsod.

— A za sadem w kuli! — rzekła białka i beczala dalij.

— To jo sobie jesz jęgo grob obezdrzę, — rzek sąsod i szed do tyj kuli.

Ale ten chłop, widząc, że sąsod nad kulą stoi, meszłoł, że on znowu na niego waru wleje, więc podskoczeł, obaleł sąsada, i ucek w pole. Sąsod zos mesłoł nopierw, że to jaci byk go obaleł i wołoł za nim:

— Hola byczku, hola byczku! —

Na trzeci dzeń chłop, cieja ta sztuka sę nieudała, znowu rzek do swyja białci:

— Dzys on znowu przyndze po swygo trojoka! — Jo tero nie-wiem jinszyj rade, jak sę schowac w koscele. Tam stoi, truma na zoduszny dzeń, w tę jo wleżę, a te, białko, wstawisz swięę na nią. Tam on niebędze tego trojoka odemnie żądac.

I tak oni też i zrobile!

Jak więc w smroku przeszed sąsod i sę pytoł za chłopem, białka mu odrzekła:

— Muj chłop leży w trumnie w koscele, jutro będzie chowany! —

— Cieja, nieżyje, tej nieżyje, — odrzek sąsod, — to i po moim detku je. Ale jo mu tak a tak pudę spiewac do koscoła przez noc i za niego pocerz mowic! —

Tak ten sąsod szed na noc do tego koscoła, włoz trapami na chór i jał sę modlic. Długo to ale nie trwało, tak on czuł, że kole

okna chtos chroboce. Po chwile ale ju przez okno wloz jeden chłop, za nim drudzi — trzeci, jaż jich beło dwanosce. A to bele wszystko zbujce. Ny zbujce przeszle do kosciola, bo meslele, że prze tym trumnie w tyj trumnie będą pieniądze i złoto. Noprzod oni ale tej wsześci wesepole swoje detci na tę trumę, a ten nostarszy miol je podzelec a to dlo każdygo na dwonosce rownych dzelów. Ale jak on wszystko podzeleł, tej do jednygo dzelu felowało jednygo trojoka. Tak ten nostarszy zbujca rzek do tego, chternymu felowało tego detka:

Żeli te przetniesz tę trumę szablą od góre do dołu, tej jo ce dom tego detka!

Jak tę godkę uczuł chłop, chteren leżoł w tyj trumnie, tak on sę srodze werzas, bo mesoł, że tero popowrdze żecy stracy. Jął w wiel-dzim strachu wołac z całygo gardła:

— Wszesce Święcy, stańta mnie do pomoce!

A sąsod, co sedzoł na chórze i wszystko widzoł, jął odpowiedac różnymi głosami:

— Zaro — zaro — zaro!

Zbujce, czując to, dostele strach i ucekele, ostawiwsze pieniądze, a ten nostarszy zaboczeł nawet swoję czopkę. Bo oni meslele, że wiele Świętych przebeło tymu w trumnie do pomoce.

Jak ale te zbujce poucekele, to nen sąsod zloz z chóru, wepusceł chłopa z trume i oni się zaczęle dzelec w te pieniądze, co je zbujce ostawile. I zbieg im też jeden trojok.

Ale zbujcom jednak sę żol zrobieło tych pieniędzy, chterne oni w koscele ostawili i rzek jeden do dredzigo:

— Niech chto z naju jidze i oboczy, wiele tam tych Świętych sę zbiegło do pomoce. Ciejbe jich niebeło więcej jak naju, to besma poszła, i jim odebrała co nasze! —

Ale nicht niechcoł jic, bo sę bojele. Kureszce rzek ten nostarszy:

— Tej jo pudę! —

I szed. Ale jak on dzwierze pomału odmykoł, tej go uzdrzoł ten chłop, co w trumnie leżoł, wżan zaboczoną czopkę tego zbujce i cesnął mu ję w ocze i rzek:

— Za twygo detka mosz czopkę! —

Ale zbujca sę zląk i ucekoł, le za nim sę kurzeło. A jak przeszed do swoich towarzeszów, to rzek:

— Nie jidzma tam nazod, bo tam jich je barzo wiele. Tak wiele, że z naju pieniędzy dlo każdygo wepadło le po trojoku. A je-

den z nich, ciej jem dwierze otwieroł, cesnął mnie moję czopkę i zawrzeszoł: Mosz czopkę za twygo detka! —

Tak zbujce nie wożyli sę jic tam nazod.

Ale chłop i jego sąsod podzelyle detci pomiedze siebie i sę pogodzyle. — Bojka sę skuńczeła.

Nigde do zgube nie przyńdą Kaszube.

Obrazek z Kaszub. Napisał * * *

[Dokończenie.]

Doraba landrat atoli przyszedłszy do Wojtka, przywitał się krótko i jął nad czemś dumać. Wojtk zaś widząc jego twarz ponurą i jakby wystraszoną, zląkł się trochę w obawie, czy może Doraba mu nie zwiastuje nowego zwrotu w jego sprawie z karczmą. Tymczasem za chwilę podniósł Doraba swoje oczy na Wojtka, jakoby wylęknione, i rzekł z przyciszonym głosem:

— Czuł te ten wicher dzys noce?

Wojtk dał znak głową, że słyszał wicher.

— Taci wicher — ciągnął Doraba, — wjedno wieje, ciej zły duch z przeklętą duszeczka uceko na swiat drudzi! Wez secierę i poj ze mną do Różka, bo w waju wse je trup! —

Wojtk zrazu oniemiał na słowa Doraby, potem ale wyszukał siekiery i poszli do Hornowej karczmy. W drodze się do nich przyłączyło więcej ludzi, którzy na widok Wojtka, siekierą uzbrojonego, stawali i odebrawszy odpowiedź, przyłączali się do nich dwoje. Kiedy stanęli przed karczmą, już cały zastęp ludzi wiejskich im towarzyszył.

Tymczasem dzieci przykładały twarze do szyb okien i plaszcząc nosy, starały się przeniknąć mrok wewnątrz panujący. Nareszcie jeden z chłopaków zakrzyknął:

— Jo widzę Różka, on stoi w jizbie! —

Lecz w tej chwili już pod parciem ostrza siekiery, wsuniętej pomiędzy drzwi a ścianę, z hukiem odskoczyły drzwi do sieni, a Wojtk pierwszy, przeżegnawszy się, przystąpił do drzwi izby i je otworzył.

Karczmarz był w domu.

Tam na jednym z haków, powbijanych w sufit, wisił on na powrozie, nogami bez mała dosięgając ziemi, z twarzą wykrzywioną jakby uśmiechem lubieżnym, z oczyma wyszłemi na wierzch. —

Z głośnym krzykiem uciekały białki od straszego widoku, mężczyźni zaś, grozą przejęci, patrzali ponuro na wisielca.

Doraba zaś po chwili przystąpiwszy do trupa, próbował ciepła i giętkości członków jego, potem oświadczył:

— On ju wisy całą dobę, bo ju mu sę członci złóżowate...

A kiedy go złożyli na wznak w rogu karczmy, przystąpił doń Doraba i rzekł:

— Różku, twoja dusza stoi tero przed sądem Bościm. Zwołes nas Kaszubów złodziejami i oszustami. Me cy to weboczome. Niech cy i innych grzechów Ponbog nie pamięto! —

Potem nakrył mu chustką oczy, i wszyscy odeszli. —

* * *

Zginęła zmarnowana lekkomyślnie forpoczta niemczyzny w wiosce kaszubskiej, a Wojtk stał się znowu panem swej karczmy. Ale wchodził do niej jakby do obcego domu, bo z każdego kątką wyglądała mu twarz wisielca, ohydna i groźna. Minęło kilka tygodni, nim uzbrojony w krzyż i święconą wodę, zdecydował się, zostać na nocleg w beczeszczonych murach. Wykropiwszy hojnie wszystkie kąty święconą wodą, zamknął wszystkie drzwi na klucz, wszedł do komory, drzwi zaparł za sobą i położył się w świeżą bieliznę.

Lecz nie zmrużył tej nocy ani na chwilę oka. Ledwo bowiem zagasził świecę, zaczęły dochodzić jego uszu jakieś szepty z poza drzwi. Szepty te zmieniały się w stękanie ciężkie i straszne. Wojtk zaciągnął pierzynę na głowę i jął się pocić, jakby wypił garniec lipowej herbaty. Lecz słuch jego — zdrajca — starannie mu donosił teraz odgłos miarowych kroków z izby, jakby ktoś ciężko stąpał po podłodze. Kroki nareszcie stanęły przed drzwiami jego komory.

Teraz zerwał się Wojtk z łóżka. Zapalił świecę, otworzył drzwi do wielkiej izby, która jak czarna szeluć, słabem światłem łójówki oświecona, rozwarła się przed nim.

Wszystko było cicho. —

Nagle jednak Wojtk taki strach porwał, że strząśszy się, jakoby nań kubeł zimnej wody nalał, zamknął za sobą drzwi, aby je zawrzeć na klucz. Teraz już nie wygasił łójówki, ale przy jej świetle legł na łóżku i z zgrozą przysłuchiwał się ponownej gospodarce za ścianą. Uciszyło się dopiero, gdy brzask nowego dnia przebijał się przez małe okienko komory, wtenczas też dopiero usnął nasz Wojtk, a zbu-

dził się przeciw swemu zwyczajowi dopiero, kiedy słońce wysoko sta-
nęło na niebie, patrząc na pracowitych ludzi, zatrudnionych w polu
i na jeziorze. —

Niebyło teraz innej rady, jak czekać, aż ksiądz jegomość wy-
kropi zbeszczeszczony dom i wypędzi zeń duchy nieczyste kropidłem
i modlitwami. Tymczasem atoli Wojtk się wyprowadził do sąsiada
i tylko dniem urzędował w karczmie, z ostatnim gościem ją opuszczają-
jąc. Po Godach czyli Bożem Narodzeniu miał się odbyć ślub jego
z Maryszką i wesele. I tak się urządzać zamierzał Wojtk, że razem
z biesiadą poprosi księdza na kolędę, który mu dom poświęci na
nowo.

I Wojtk był szczęśliwy, gdyż i konsens teraz mu się dostał, a za-
razem żniwa tegoroczne tak były obfite, że sprzątnąwszy żyto, musiał
część natychmiast młócić, a słomę składać w potężnych stogach na
polu, ażeby miejsca zrobić w stodole dla jarzyn.

Jakoż powolnie, prawda, szły tygodnie aż do Gód, lecz praca,
której dobry gospodarz ma zawsze dosyć, skracala Wojtkowi chwile
czekania. Nie omieszkał też w chwilach wolnych, aczkolwiek rzadkich
u niego, zawitać w dom Zmudów i patrzeć w oczy swej nadobnej
Maryszce. — Minęły i Gody nareszcie i zawitał dzień, w którym
drużba, ustrojony w kwiaty i wstążki na czapce, na rękawach i na
lasce, obchodził wieś, prosząc gburów do państwa młodych na ślub,
mający się odbyć w kościele parafialnym w Brusach i na biesiadę
w domu rodziców panny młodej.

A kto mógł być lepszym drużbą od naszego Lali?

Ambarasu mu cokolwiek sprawiło zrazu odpowiednie wyekwi-
powanie. Lecz organista zlitował się nad nim i pożyczył mu surduta
czarnego. Inne części zaś ubrania znalazły się za dobre słowo u gbu-
rów we wsi. Tak więc nic na jego skórze niebyło jego własnością,
oprócz barwnych kwiatów i pstrych wstążek, które przypinał na
ramionach, na piersi i na kapeluszu. Mimo to Lala oddał takiego
drużbę, jakiego daleko i szeroko szukać trzeba. Urząd bowiem drużby
nie jest takim łatwym, jakby sobie myślał zwyczajny biesiadnik, siada-
jący do stołu, by jeść i pić. Nietylko obowiązkiem jego powiedzieć
piękną »raczbę«, prosząc pięknie gości na wesele. Ale podczas całego
obchodu weselnego, trwającego dni kilka, powinien on różnemi »pre-
mowami« i żartami gości bawić.

Lala wywiązał się z swego zadania świetnie.

Zajechawszy na koniu, który również w grzywie miał pstre

wstążeczki, przed dom gburą zaproszonego, pochwalał Boga, a potem jął prawie uważnie słuchającym. Prosił ich przedewszystkiem, ażeby sobie w dniu weselnym nie »wydawali drogi«, ani do »Gdańska, ani do Lęborka ani do Bytowa, bo mie bardzo o to boli głowa«. Potem prosił całe »waspaństwo

z coreczkami,
z przydoneczkami,
w cztery konie wózkiem kowanym
albo też kolasą malowaną,
synaczków na konikach
przy muzyce i przy parce pistoletach«.

Dodał, że w kościele przy obrzędzie ślubnym modlić się będzie trzeba za młodą parę, »ażeby Pan Bóg tym dwojga ludziom młodym dał szczęśliwy początek i zbawiony koniec«. Za to obiecywał obfitą biesiadę:

»Tam będą przed pany barany,
przed chłopcy skopy,
przed białeczki owieczki,
przed dziewczątka jagniątka.
Jeden wół w komorze
A drugi w oborze:
Kiedy się popijemy,
tak i tego zabijemy.« —

A nareszcie „jako człek podróżny“, prosił, „ażeby i worek moj nie został próżny!“ —

Nie potrzeba atoli było już tego ostatniego przypomnienia. Każdy zamożniejszy gbur dawał mu do worka twardego talara po tak świetnej raczbie, a oprócz tego postawił przed nim i dobry „częstunek“. Więc pływał Lala w swoim żywiole jak ryba w wodzie. A któż by potrafił powtórzyć wszystkie te frantówki i powiastki, którymi on rozweselał gości przez te trzy dni, jakie trwało wesele Wojtka z Maryszką! —

Kiedy trzeciego dnia roj biesiadników zwałił się nareszcie do karczmy, a ksiądz jegomość, przyszedłszy z kołędą, wypędził złe duchy z Wojtkowej karczmy, Lala niemógł wytrzymać i objął na nowo komendę swej kapeli. Ta się już wylizala była z blizn, otrzymanych po ostatniej potyczce z zmarłym Hornem, i grała jak zeszłej zimy, kiedy to na śmierć zagrała nieszczęśliwego Różka. Sam Doraba, bez którego się oczywiście obyć nie mogło, rozczulił się, kiedy basetla jąła wtóżyć swoje: Cały tydzień bulwe z mleciem, bulwe z mleciem...

I zapomnieli biesiadnicy przy granju Lali, że ta izba nie tak dawno była świadkiem straszego dramatu.

Kiedy zaś biesiadnicy najgoręcej się krzżeli podług taktu muzyki Lali, Wojtk objąwszy młodą żonę, wyprowadził ją przed drzwi, gdzie zimowy wiatr chłodził ich twarze. Już było ciemno, a z północy ciężkie chmury się zbliżały, brzemienne burzą i śniegiem. Ledwo gdzie niegdzie gwiazdka mała mrugnęła, ażeby w chwili zniknąć za chmurami. Oni oboje patrzali chwilę w niebo zasępione i w burzę zbliżającą się ku nim, potem Wojtk objął silniej swą Maryszkę, a ona przytuliła się do jego piersi. A głos Doraby, który się jak duch przed nimi zjawił, zabrzmiał uroczyście:

— Tak się trzymajta oboje, a żodne burze waju nie złomią. Zgodą i mnięloscą, a sprowdzy się przesłowi nasze: Nigde do zcube nie przyńdą Kaszube!

(KONIEC.)

UWAGI.

Towarzystwo dla ludoznawstwa kaszubskiego (Verein für kaschubische Volkskunde) odbyło dnia 30 września swe coroczne walne zebranie pod przewodnictwem dra Lorentza z Kartuz. Z spraw objętych porządkiem dziennym na szczególną uwagę zasługują dwie: Pierwsza, to próba wciągnięcia towarzystwa na tory hakatystyczno-polityczne, — próba, jak się nam bardzo wydaje, uczyniona przez hakatystów kościerskich. Przewodniczący oznajmia, że skutkiem listu, wystósowanego przez wybitnego członka i inteligiencyi niemieckiej na ręce przewodniczącego z zapytaniem: Jakie stanowisko zajmuje Towarzystwo dla ludoznawstwa kaszubskiego wobec agitacyi wielkopolskiej? — zwołał w przeciągu lata nadzwyczajne zebranie głównego wydziału w celu zajęcia stanowiska. Wydział na owem zebraniu zaznaczył dobitnie czysto naukowy charakter towarzystwa i wyraził redakcyi wydawanych przez towarzystwo „Doniesień“ (Mitteilungen) wotum zaufania. Redakcyja bowiem „Doniesień“ była bezpośrednią przyczyną do powyższej interpelacyi, gdyż interpelantowi niespodobało się krytyczne omawianie „Gryła“ i broszury Kościńskiego „Idea panslawistyczna na Kaszubach“ na łamach „Doniesień“.

Przyjęto na wniosek członka, landrata Kartuzkiego Hagemanna także następującą w tej sprawie rezolucyę:

„Główny wydział uznaje, że towarzystwo przepisów § 3 (zabraniającego zajmowania się sprawami politycznemi. Red.) ściśle się trzymało i trzymać będzie. To stanowisko wydaje się głównemu wydziałowi zupełnie zgodnem z omawianiem czasopism i artykułów gazet, dotyczących ludoznawstwa kaszubskiego. Zapatrywania polityczne członków nie są miarodawczemi dla towarzystwa naukowego. Tymczasem ale główny wydział jest zdania, że przez naukowe opracowywanie ludoznawstwa kaszubskiego służy łagodzeniu przeciwności narodowościowych.“ — Rozolucyja przeszła jednogłośnie